

Kto się boi Michała K.?

20 sierpnia 2018

Nowy rolniczy lider szturmem podbija internet. Wrzuca w media społecznościowe masę zdjęć i filmów. Modna fryzura, aparat na zębach i pięść skierowana do rządzących – to jego znaki rozpoznawcze. Kim jest Michał Kołodziejczak i jego Unia Warzywno-Ziemniaczana i o co walczą? Poniżej lipcowe protesty rolników i ich przyczyny w pigułce.

Lato to dla mieszkańców miast przede wszystkim czas wakacji. Liczą pieniądze i jeśli ich stać, szukają miejsc, gdzie mogą spędzić urlop i wypocząć. Dla rolników jednak nie ma pracowitszego okresu. To kluczowy czas dla zbiorów. Warzywa, owoce, zboża – większość z nich rolnicy pozyskują w tym okresie. W sklepach, marketach i na rogatkach ulic pojawiają się też wtedy wytłoczki polskich malin, worki bobu, brzoskwinie, morele czy porzeczki. Tymczasem, niezależnie od nawału pracy w polu, w Warszawie na początku lipca zjechali się na demonstrację rolnicy zrzeszeni w Unii Warzywno-Ziemniaczanej. Protestujący domagali się od rządu reakcji, na ich zdaniem, tragiczną sytuację polskich producentów rolnych. Przewodził im Michał Kołodziejczak.

Ciągną do niego aktywiści i politycy z prawicy i lewicy. Na demonstracjach można zauważyć postać nacjonalistę Roberta Winnickiego, znanego ze spalania kukły Żyda Piotra Rybaka, a tweetuje o nim eksksiądz-antysemita Jacek Międlar. Dla równowagi pojawiają się też socjaldemokraci z partii Razem czy ich kandydat na prezydenta Warszawy Jan Śpiewak. Kołodziejczak miesza lewicowe i prawicowe hasła. Wygraża pięścią amerykańskiej ambasadzie, na demonstracjach puszcza Rotę, ale i opowiada o oddolnym zrzeszaniu się w rolnicze kooperatywy i spółdzielnie oraz że nie obchodzi go, kto z kim sypia.

Zapanowała specyficzna polityczna moda na Kołodziejczaka, a swojego człowieka widzieć w nim chcą i nacjonałiści, i

komuniści, i przedsiębiorcy, i związkowcy. Smsy, połączenia, wiadomości na mesendźerze – jego telefon nie milknie. Zgłaszają się do niego rolnicy chcący dołączyć do protestów, sklepikarze chcący kupić płody rolne bezpośrednio od producentów, aktywiści, widzący w nim swojego rzecznika, a także polityczni wizjonerzy i fantaści mający nadzieję, że to lider na którego czekali, żeby wcielić w życie swoje teorie. Coraz częściej słychać mówione o nim w kręgach politycznych „nowy Lepper”.

Kim jest więc ten producent kapusty pekińskiej z podsieradzkiej gminy Błaszki i dlaczego wychodzi ze swoimi ludźmi na ulicę?

Wąskie gardło wspólnego rynku

Może i polska reprezentacja w piłkę nożną fatalnie zaprezentowała się na mundialu, ale są konkurencje, w których jesteśmy globalnym liderem. Polska jest największym na świecie eksporterem jabłek i pieczarki. Liderujemy UE w produkcji malin i wiśni. Podobnie marchwi, ogórków gruntowych, łososi i drobiu. W truskawkach mamy, z 17% udziałem w rynku, drugie miejsce w Europie. W produkcji śliwek czwarte, gruszek i pomidorów piąte, a brzoskwiń szóste. W okresie rządów koalicji PO-PSL wdrożono program tworzenia rolniczych grup producenckich, które zaczęły konsolidować wiejski kapitał. Duży, zamożny unijny rynek stoi przed nimi otworem. Skoro więc jest tak dobrze, to czemu jest tak źle?

W sklepie i na straganie półkilowa wytłoczka malin kosztuje od siedmiu do dziesięciu złotych. Z hektara malin można zebrać nawet 10 ton tego owocu. Gdyby cała suma szła do rolnika, zarabiałby między 140 a 200 tys. złotych z każdego hektara. Sytuacja nie jest jednak taka prosta. Ceny skupu na owoce i warzywa są nawet dziesięć razy niższe niż detaliczne. Za kilogram malin rolnik dostanie 1,5 zł. Za tyle samo czarnej porzeczki 30 groszy. Za wiśnię – złotówkę. Ziemniaki i

czerwoną kapustę sprzeda za 30 groszy, białą za 10-15. Odliczając płacę zbieracza, amortyzację sprzętu, benzynę, prąd, wodę i podatki w kieszeni rolnika zostaje niewiele.

Różnica idzie do kieszeni pośrednika. A nimi są w Polsce przede wszystkim wielkie sieci marketów – kolejno pod względem popularności: Biedronka, Lidl, Kaufland, Auchan i Tesco. Negocjacje z nimi nie są w żadnym razie symetryczne. Warzyw i owoców rolnik nie może długo przechowywać, więc chce sprzedać je jak najszybciej. Jeśli sieć nie dokona zakupu, płody rolne zgniją w skrzynkach.

– Dwa lata temu temu był taki problem z pomidorami – opowiada mi Kołodziejczak. – Były drogie. W Hiszpanii były jeszcze droższe. Duża sieć marketów na to „faka wam damy”. Tydzień będziemy dopłacać do hiszpańskich, ale waszej ceny nie zaakceptujemy.

Co mieli zrobić, zgodzili się. – Jesteśmy na łasce monopoli – opowiada mi lider rolniczych protestów.

Do tego dochodzą wymagania jakościowe. Teoretycznie kraje Unii Europejskiej nie mogą dyskryminować towarów ze względu na kraj pochodzenia. W praktyce jednak zamiast ceł mogą stosować inne blokady. Firmy mogą wymagać specyficznego kształtu i koloru warzyw, odpowiedniej ich wielkości czy składu. Jednocześnie do Polski, bywa, zwożona jest żywność gorszej jakości.

Importerom opłaca się przywozić towar, którego nie sprzedaliby u siebie, bo Rzeczpospolita nie stawia jej tak wysokich wymagań jakościowych jak Niemcy. Bywa też, że sieci marketów wolą nabyć towar poza Polską, nawet nieco drożej, bo kupują od firmy, która jest częścią ich własnego konsorcjum. Czyli w praktyce od siebie samego.

Do Polski napływają też towary zagraniczne, które są przepakowywane już na miejscu i sprzedawane jako polskie. Na przykład ziemniaki z Egiptu, Grecji, Hiszpanii, Francji, Niemiec czy Belgii. Tymczasem, żeby wysłać je z Polski do

Niemiec polski rolnik musi zdobyć specjalne dokumenty, których zrobienie zajmuje kilka dni. W odwrotną stronę nie ma takiego obowiązku. To w praktyce blokuje ich eksport za granice, bo niewielu rolników podejmuje się tego wysiłku. – Jesteśmy zamknięci na swoim rynku, do którego i tak mamy może z 20-30 proc. dostępu – mówi mi Kołodziejczak.

Do tego polscy rolnicy przegrywają z dłuższą tradycją, większym kapitałem i lepszym umocowaniem w Unii Europejskiej swoich zachodnich odpowiedników. I z większymi dopłatami. Te dla Francuzów czy Holendrów są prawie dwukrotnie wyższe. Kiedy Polska wchodziła do Unii zachodni producenci rolni dostawali je już od co najmniej kilkunastu lat i znacząco wyprzedzali Polaków pod względem używanej technologii, organizacji i doświadczenia w radzeni sobie na wspólnym rynku. Nadwiślańscy rolnicy mogli wygrywać z nimi jedynie dzięki taniej sile roboczej.

Odpowiedzią na tę sytuację miały być grupy producenckie. Koalicja PO-PSL naciskała na ich tworzenie. Wystarczyło pięciu rolników, żeby dostać dofinansowania rzędu 75-90% proc. W tym procesie dochodziło jednak do wielu nieprawidłowości. Wiele powstałych w tym okresie grup upadło. Niektórzy rolnicy sprzedawali sobie nawzajem własne samochody, wystawiali faktury, a potem dzielili się zyskiem. Do obrotu dodawany był finansowany przez państwo bonus, 5-10 proc. I niestety w efekcie powstawały także i zmywy. Bywało, że grupy obracały towarami między sobą nawzajem, za każdym razem kasując od państwa te 5-10 proc. Jaki był tego efekt? Wielu rolników zostało oszukanych przez ludzi, którzy uzyskali od nich i od państwa fundusze, a potem z nimi zniknęli.

Na wschodzie bez zmian

Jednym z postulatów rolników jest żądanie rozwiązania problemu rosyjskiego embarga na polską żywność.

– Moje gospodarstwo jeszcze cztery, pięć lat temu sto procent

produkcji sprzedawało do Rosji – opowiada mi Kołodziejczak. – A teraz wychodzi premier i mówi: embargo to nie problem. Ja wtedy poczułem bezsilność. Jak mam się przekwalifikować? Jak zmienić produkcję? Przecież maszyna do zbierania kapusty kosztowała mnie 500 tys. zł, muszę spłacać kredyt! – dodaje wzburzony.

Embargo uderza przede wszystkim w producentów pomidorów i kapust. Rolnicy są skazani na markety i wspólny rynek. Żeby nie zbankrutować, przekwalifikowują się na inną produkcję, co jeszcze bardziej pogarsza warunki na rynku. Zachodni rolnicy sprzedają swoją nadprodukcję w Europie Środkowej. Polscy rolnicy nie mają już gdzie tego zrobić. Dawniej chłonny rosyjski rynek jest dziś dla nich w dużej mierze zamknięty. I będzie zamknięty „w interesie bezpieczeństwa kraju” co najmniej do końca 2019 r., jak zadekretował na początku lipca prezydent Rosji Władimir Putin. Zakazem wwożenia objęte są pochodzące z krajów Unii i z nią stowarzyszonych owoce, warzywa, mięso, drób, ryby, mleko i nabiał. Czyli wszystko to, w czego produkcji przoduje Polska.

Bez zakończenia wspierania Ukrainy w jej konflikcie z prorosyjskimi separatystami nie ma szans na zniesienie tych sankcji. – Churchill powiedział, że przyjaciel czy wróg to nie są jakieś stałe. Tylko interes jest niezmienny – odpowiada mi na to Kołodziejczak. Jednocześnie na Ukrainie ziemię masowo dzierżawią Holendrzy, Hiszpanie, Francuzi i zaczynają produkcję na najżyźniejszych glebach w Europie. Podobne dziafania podejmują w Afryce, a potem tak pozyskane płody rolne wprowadzają na unijny rynek jako swoją produkcję.

Tym bardziej, że wzrasta koszt siły roboczej. Do prac polowych rolnicy dotychczas zatrudniali pracowników z Ukrainy. Jednak od wprowadzenia w ubiegłym roku dla nich ruchu bezwizowego oraz zwiększenia świadczeń socjalnych, liczba chętnych do pracy na polskich polach regularnie spada. Rolnikom udało się wymusić na rządzie ustawę o pomocnikach w rolnictwie, ale to na dłuższą metę nie załatwi sprawy braku rąk do pracy i

niskich płac pracowników sezonowych. Jeśli na Zachodzie nie wystąpi jakaś klęska żywiołowa, to wielu producentów rolnych znajdzie się na granicy bankructwa.

Nowy Lepper?

Modnie ostrzyżony, z aparatem na zębach, wygadany lider Unii Warzywno-Ziemniaczanej budzi coraz większe zainteresowanie mediów. Jest bezpośredni, od razu przechodzi na ty. Jego komórka ciągle brzeczy od nowych powiadomień.

– Ludzie sami się zgłaszają i chcą robić – mówi podekscytowany. – Poczekaj, poczekaj, tylko podeślę linka jednemu gościowi – przerywa na chwilę spotkanie, żeby wysłać coś mesendżerem. Pokazuje mi na komórce filmik. Ukraińscy pracownicy śpiewają i wkładają zebraną kapustę pekińską na coś, co przypomina połączenie traktora i pasa transmisyjnego. – Są tylko takie dwie maszyny w Polsce – oświadcza mi z wyraźną dumą Kołodziejczak.

Mimo że był członkiem Prawa i Sprawiedliwości, dziś z PiSem mu zdecydowanie nie po drodze. – Jak powiedziałem, że robię zebranie rolników we wsi, zadzwonili do mnie z partii o 23 i powiedzieli, że już nie mam czego u nich szukać – opowiada. – Wyrzucili mnie przez telefon! Za to że zebranie na wsi robię, bo to źle wygląda w oczach społeczeństwa, że buntuje przeciw dobremu PiSowi – mówi mi z goryczą w głosie.

Polskie Stronnictwo Ludowe też mu się nie podoba. – To są lokalne układziki i układy – opisuje Kołodziejczak ludowców. Widzę, jak to działa w gminach. Wójt, burmistrz, radni, rodzina pozatrudniana, tu sprzętaczka, tam księgowa. To taka organizacja, która korzysta z państwowych zasobów, żeby utrzymywać samą siebie i swoją klientelę. Interes chłopski, związkowy, nie może iść w parze z żadną partią polityczną – podsumowuje twardo.

Jednak na protestach rolników, którymi kieruje Kołodziejczak,

pojawia się coraz więcej polityków. Jak na razie z głównie ci z radykalniejszych skrzydeł i niewielkich organizacji. Na demonstracjach przemawia znany z palenia kukły Żyda na wrocławskim rynku Piotr Rybak. Da się zauważyć postać nacjonalistę Roberta Winnickiego. Można było wypatrzeć Jana Śpiewaka i członków Zarządu Krajowego partii Razem Macieja Koniecznego czy Marcelinę Zawiszę. Nacjonałiści widzą w protestujących bojowników o polski interes narodowy; socjaliści – buntowników wobec dyktatu korporacji i wielkiego kapitału; miejscy przedsiębiorcy – swój wiejski odpowiednik. A to wszystko dopiero po niecałym roku samoorganizacji protestujących. Podobnie sprawy wyglądały z Lepperem. Tam wokół zrewoltowanych bankrutujących rolników natychmiast pojawiali się politycy z prawa i z lewa, chcąc ideologicznie zagospodarować potencjał, jaki przynosił medialnie dobrze się sprzedający lider.

– Staramy się znaleźć to, co nas łączy i już nas nie interesuje, czy jesteś w mieście nacjonalistą czy lewakiem – zarzeka się Kołodziejczak. – Związek zawodowy ma działać w interesie rolników nie jakichś partii, deklaruje.

A jaki jest stosunek do nich innych rolniczych związków zawodowych?

– Boją się. My nie mamy za sobą historii, pieniędzy, związków z lobbystami, publicznych pieniędzy. Nie mamy nic do stracenia, – opowiada mi lider protestów. Co na ich postulaty rząd? – Było sympozjum u Rydzyka, suwerenność gospodarcza. Miał być premier. Mówię chłopakom, jedziemy, zadamy mu pytanie, opowiada mi się Kołodziejczak. Pytamy: co mamy robić? A on co? Rozkłada ręce – dodaje wściekły.

Autorstwo: Kto się boi Michała K.?

Źródło: Trybuna.eu